

RAFAŁ TICHY

UKRYTE OBLICZE

O MISTYCE I MESJANIZMIE



FLOS CARMELI
POZNAŃ 2013

Redakcja
Wojciech CIAK OCD

Korekta
Zofia Błajek

Recenzja wydawnicza
Prof. dr hab. Paweł Placyd Ogórek OCD

Imprimi potest
Roman Jan Hernoga OCD, Prowincjał
Warszawa, dn. 08.05.2013 r.

Nihil obstat
Paweł Placyd Ogórek OCD, Cenzor
Poznań, dn. 25.04.2013 r.

Imprimatur
Bp Grzegorz Balcerek, Wikariusz Generalny
Poznań, dn. 8.05.2013 r., N. 2367/2013

© Copyright by Flos Carmeli, Poznań 2013

FLOS CARMELI Sp. z o.o.
Wydawnictwo Warszawskiej Prowincji
Karmelitów Bosych
ul. Działowa 25; 61-747 Poznań
tel.: 61 856 08 34; faks: 61 856 09 47
e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl
www.floscarmeli.pl

ISBN: 978-83-62536-86-3

Druk i oprawa: TOTEM – Inowrocław

SPIS TREŚCI

WSTĘP	9
NA POCZĄTKU BYŁ DIONIZY	13
Odkrycie w Konstantynopolu.....	16
Świat według Dionizego	17
Widzenie Niewidzialnego	19
Pozytywna droga „negacji”	22
Dwie strony negacji.....	24
Teologia mistyczna	26
Pokusa mistycyzmu	29
Próba definicji.....	30
Ukryty autor.....	31
MISTYKA MIŁOŚCI BERNARDA Z CLAIRVAUX	35
Idź tam, gdzie nie chcesz	37
Poznaj siebie.....	41
Znajdź obraz	43
Wysłuchaj się w swoją pożądlivość.....	45
Nie zapomnij się zakochać.....	48
Teraz ty pozwól się kochać.....	52
Bądź podobny Bogu.....	54
Mimo wszystko pozostań człowiekiem	55
Spotkaj Boga, a nie diabła.....	58
Wejdz na Górę.....	59
MISTYKA NIESKOŃCZONOŚCI GRZEGORZA Z NYSSY	63
Opuszczenie świętej rodziny.....	66
Życie Mojżesza.....	68
Doktryna <i>epektasis</i>	69
Nieograniczoność Boga	72

Światło objawienia.....	74
Wody śmierci i wody życia	76
Obraz i Archetyp	78
Oblicze Boga albo maska bestii	80
Starszy brat i młodszy brat	82
Pustynia i obłok.....	84
Wielkość i sława	90
Boska ciemność	92
Boska tęsknota.....	96
Widzenie Niepoznawalnego	99
Iść, dokądkolwiek prowadzi.....	101
Ziemia Obiecana.....	104
MISTYKA MĘCZEŃSTWA IGNACEGO ANTIOCHEŃSKIEGO ...	111
W obliczu apostołów i prześladowań	113
Uwięziony za Imię.....	115
Przykuty do dziesięciu lampartów	117
W cieniu Jedności.....	120
W blasku Chrystusa	121
Idąc po śladach	123
Machina Krzyża.....	125
Nie uwalniajcie mnie	129
Paradoks Ciała i Krwi.....	131
Perpetua, Felicyna, Polikarp i inni	133
MAŁA ARABKA – KAPRYS BOGA	141
Narodzona w Ziemi Świętej.....	143
Wszystko przemija.....	144
Ścięte zaręczyny	146
Krwawe zaślubiny.....	147
W obliczu aniołów	149
Opieka Matki	150
W stronę Karmelu.....	151
Tańcząc ze świętymi.....	152
Ponad lipami.....	155
Droga przez piekło.....	156
Podarta suknia.....	160

Wieża Dawida.....	161
Na tym samym Krzyżu	162
Przebita miłością	165
Pokora i konfitury	167
Ostatnie огоłocenie.....	169
Inny świat	171

CZAS NA APOKALIPSE. HISTORIA OCZEKIWAŃ

MESJAŃSKICH.....	181
Czas Mesjasza	183
Czas Jezusa	186
Czas jest krótki.....	187
Czas mnichów i indywidualistów	189
Czas polityki i demitologizacji.....	193
Czas wspólnoty.....	195
Czas historii.....	199
Czas mesjanizmu.....	201
Czas odzyskany?	204
Czas znaków.....	205
Czas antychrysta.....	208
Czas wojny	210
Czas oczekiwania.....	212
Czas pesymizmu i czas optymizmu	214
Czas sztuki.....	218
Godzina „W”	222

NEOMESJANIZM.....	233
Ukryte oblicze historii	236
Narodziny historiozofii i mesjanizmu.....	238
Mesjanizm i apokaliptyka	240
Utrata mesjańskiego ducha.....	243
Historiozofia i historiografia	247
O potrzebie nowej chrześcijańskiej historiozofii	251
Mesjanizm i cywilizacja.....	254
Mesjanizm i polityka.....	258
Mesjanizm i czyn.....	262
Mesjanizm i naród	264

WSTĘP

Rozprawy zebrane w tym tomie dotyczą mistyki i mesjanizmu. Tym, co je łączy, jest temat „ukrytego oblicza”. W pierwszym przypadku chodzi o ukryte oblicze Boga, które mistycy tak pragną ujrzeć, że decydują się porzucić wszystko, nawet jasność teologicznej wiedzy, by wejść w ciemności, które je skrywają. W drugim przypadku o ukryte oblicze świata, do którego mesjaniści i apokaliptycy, uzbrojeni w świadomość rzeczy ostatecznych, docierają poprzez pozorny chaos wydarzeń historycznych. Te dwie drogi duchowo-poznawcze od lat stanowiły przedmiot mojego zainteresowania. Dopiero z czasem jednak zacząłem zdawać sobie sprawę, że zarówno mistyk, jak i mesjanista szukają w istocie tego samego oblicza. Czy bowiem ten, kto kontempluje Boga twarzą w twarz na wyżynach niebieskich, nie staje się szczególnie zdolny, i tym samym powołany, by w materii tego świata dostrzegać sens tam, gdzie go inni zazwyczaj nie widzą, a więc przede wszystkim w naznaczonych cierpieniem i śmiercią ludzkich dziejach? I podobnie – czy ten, kto z wiarą decyduje się zstąpić w głąb ludzkiej historii, nie natrafia tam ostatecznie na ślady obecności tego Boga, który zechciał właśnie w historii i poprzez historię objawić człowiekowi tajemnice swej natury? To, że nie od razu te rzeczy były dla mnie jasne oraz w jaki sposób dochodziłem do uświadomienia ich sobie będzie mógł czytelnik śledzić dzięki układowi książki, który w dużym stopniu odpowiada chronologii powstawania tych tekstów.

Część z zamieszczonych tu tekstów była już publikowana w kwartalniku „Frona” i „Magazynie Apokaliptycznym 44 / Czterdzieści i Cztery”. Poddałem je jednak dość gruntownym zmianom redakcyjnym, w niektórych przypadkach dopisałem dodatkowe rozdziały, a przede wszystkim uzupełniłem i zaktualizowałem przypisy oraz odwołania bibliograficzne.

Pragnę tu podziękować osobom, bez wsparcia których książka ta zapewne by nie powstała, a które dzieliły się ze mną swą wiedzą, dodawały mi otuchy i poświęcały dla mnie swój czas: Michałowi Łuczewskiemu, Krzysztofowi Niewiadomskiemu, Robertowi Pawlikowi, Magdzie i Wojtkowi Sobolewskim, Michałowi Sokulskiemu, i oczywiście o. Wojciechowi Ciakowi, który znów mi zaufał i wydał moją kolejną książkę.

MAŁA ARABKA –
KAPRYS BOGA

Kilka lat temu miałem szczęście uczestniczyć w realizacji filmu o bł. Mariam Baouardy zwanej „Małą Arabką”. W trakcie jego powstawania przebywałem przez dwa tygodnie w Betlejem w klasztorze karmelitanek bosych, który założyła, zbudowała i w którym ostatnie lata swego życia spędziła Błogosławiona. Obecnie duża część wspólnoty zamieszkującej klasztor to siostry zakonne przybyłe z Polski. To dzięki ich przychylności, otwartości i gościnności – a zwłaszcza przełożonej wspólnoty, siostry Lucyny Seweryniak – mogłem odwiedzić miejsca i wysłuchać opowieści, które pozwoliły mi „dotknąć” tajemnicy życia palestyńskiej karmelitanki. Życia niezwyklego, fascynującego i budzącego zdumienie, gdyż wypełnionego niespotykaną chyba w hagiografii chrześcijańskiej ilością darów i zjawisk nadprzyrodzonych. Mówi się wręcz, że każdy dzień jej życia był cudem. Poniższy tekst to wynik tego, czego udało mi się dowiedzieć, zobaczyć i zapisać przebywając w murach, które były świadkami jej modlitwy, pracy, snu, okupionych krwią walk i miłosnych spotkań¹.

Narodzona w Ziemi Świętej

Już jej narodziny miały znamiona cudu. Przyszła na świat w Ziemi Świętej, w pamiętających apostołów i ich Mistrza górach Galilei, między Nazaretem a Hajfą, w małej i ubogiej wiosce Aberin. Trudniący się w większości wyrobem prochu mieszkańcy Aberin należeli do wspólnoty greko-melechicko-katolickiej, w obrządku bliższej tradycji bizantyjskiej, ale wiernej Kościołowi Rzymskiemu. Jej przyszli rodzice byli dobrym i zgodnym małżeństwem chrześcijańskim. Jednak radość budowania domu i rodziny była w ich przypadku wciąż przerywana przez bolesne, trudne do zrozumienia i wystawiające ich wiarę na ciężką próbę doświadczenia. W kolejnych latach małżeństwa musieli pogrzebać dwanaścioro dzieci zmarłych w kołysce z przyczyn jeszcze niewyjaśnionych. Po kolejnym zgonie, udręczeniu, lecz jeszcze nie złamani, postanowili pójść z pielgrzymką do oddalonego o 170 km Betlejem, aby tam, w Grocie Bożego Narodzenia, prosić Maryję o dziecko, którego nie musieliby zaraz grzebać. Zostali wysłuchani. 5 stycznia 1846 roku narodziła się im zdrowa córka, której na chrzcie nadali imię Mariam (aramejski odpo-

wiednik hebrajskiego Miriam). W rok później przyszło na świat kolejne zdrowe dziecko – Bulos (Paweł).

Mariam była radosną i pełną życia dziewczynką. To, jak bardzo kochała ziemię swojego dzieciństwa z jej przyrodą, zapachem, majestatem, będzie później znajdowało wyraz w jej poezji, modlitwach, wspomnieniach. Jednak radość dzieciństwa spędzanego wśród wzgórz Galilei została dość szybko przerwana przez kolejne wtargnięcie śmierci do rodziny Baouardy. Mariam nie ma jeszcze trzech lat, gdy umiera jej ojciec, który przed odejściem powierza ją św. Józefowi – jako nowemu tacie, oraz Maryi – jako nowej matce, tak jakby przeczuwał, że niedługo córka zostanie sama. Rzeczywiście, w bardzo krótkim czasie z rozpaczy po stracie męża ze świata odchodzi mama Mariam i Bulosa. Opiekę nad dziećmi przejmuje dalsza rodzina. Mariam zostaje wzięta na wychowanie przez wuja, z którym niedługo potem przenosi się do Aleksandrii, a Bulos przez ciotkę, z którą pozostaje w Galilei. Dzieci zostały więc rozłączone i już nigdy nie miały się spotkać.

Wszystko przemija

W domu wuja – który, w przeciwieństwie do jej ojca, był człowiekiem dość zamożnym – Mariam otoczona jest zbytkiem. Ma ładne suknie i zabawki, jest zadbana i syta, usługuje jej służba. Ze szczególnym upodobaniem bawi się w rozległym i pięknym ogrodzie należącym do posiadłości jej nowej rodziny. Pewnego dnia wuj, by sprawić sierocie jeszcze jedną przyjemność, kupuje jej klatkę z ptaszkami. Mariam jest szczęśliwa, pragnie jak najlepiej opiekować się nowymi żywymi maskotkami. W tym celu poddaje je kąpeli, co dla delikatnych stworzeń kończy się śmiercią. Ta zdawałoby się „niewinna” – gdy ją z oddali czasu wspominać – historia była dla małej dziewczynki kolejną tragedią. Znow to, co tak bardzo ukochała, zostało jej brutalnie odebrane przez śmierć. Jednak właśnie wtedy, gdy wydaje jej się, że smutek i samotność osaczyły ją ze wszystkich stron, ich obręcz zostaje radykalnie przerwana. Gdy Mariam, płacząc, zakopuje ptaszki w ziemi, dociera do niej i dosłownie przeżywa ją głos: „Wszystko przemija, lecz jeśli oddasz Mi swe serce, Ja

pozostanę z tobą na zawsze”. Nigdy tych słów nie zapomni, a całe jej dalsze życie wskazuje, że odpowiedziała wtedy: „Amen”².

Jednym z pierwszych tego wyrazów był jej zwyczaj kopania w ogrodzie grobów i kładzenia się w nich. Dawniej w kulturze arabskiej chowano zmarłych i budowano grobowce w obrębie domostw. Mariam, pamiętając pogrzeby swoich rodziców i wiedząc, że śmierć jest zarazem spotkaniem – nie tylko z rodzicami, ale przede wszystkim z Tym, którego głos usłyszała – w swej dziecięcej prostocie, czystości i bezkompromisowości pragnie ten proces przyspieszyć. Dlatego choć brudzi sukienki i jest karana, dalej wytrwale kopie kolejne groby.

Tak ekscentryczne zachowanie nie było zresztą tylko jej udziałem. Można powiedzieć, że wpisywała się w długą i szacowną chrześcijańską tradycję. Jeśli bowiem prześledzimy żywoty pierwszych mnichów, eremitów z Egiptu i Syrii, to bardzo wielu z nich na swoje sypialnie wybierało właśnie grobowce. Chcieli w ten sposób poczuć przedsmak i bliskość śmierci, która oznaczała dla nich przejście do pełni egzystencji, do zjednoczenia z Bogiem. Echa tego doświadczenia – jeszcze bliższego Mariam, gdyż przeżytego przez dzieci – odnajdujemy również u dwóch najbardziej znanych świętych zakonu, do którego miała w przyszłości wstąpić: św. Teresy z Ávila i św. Tereski od Dzieciątka Jezus. Kiedy św. Teresa z Ávila jako dziecko uświadomiła sobie, że prawdziwe spotkanie z Jezusem może nastąpić dopiero po śmierci, namówiła swego młodszego brata i towarzysza, Rodryga, do ucieczki z domu: „Uzgodniliśmy, że udamy się do ziemi Maurów, żebrząc po drodze w imię miłości Boga, aby tam ucięli nam głowę” (Ż 1,4). Opuścili więc dom i wyruszyli do tej części Hiszpanii, w której mieszkali muzułmanie, i gdzie może rzeczywiście ponieśliby śmierć męczeńską, gdyby z drogi nie zawrócił ich wuj³. Podobnie było z Małą Tereską. Od kiedy dowiedziała się, że śmierć to wrota życia wiecznego, powtarzała matce: „Och! Jakbym chciała, żebyś umarła, moja biedna Mamusiu”. Wszyscy się oburzali, że dziecko życzy matce śmierci, a Tereska po prostu życzyła jej wiecznego życia w obecności Boga⁴.

Dzieci posiadają niezwykłą intuicję. Jeśli wyjaśnimy im, że w wieczności spotkają Jezusa, ale najpierw muszą przejść przez śmierć, która

jest bramą wiodącą do nowego życia, przestaną postrzegać śmierć jako coś ponurego, przygnębiającego i smutnego. Śmierć stanie się dla nich bramą, przez którą przechodzi się do wiecznej radości. Podobnie doświadczała tego malutka Mariam.

Ścięte zaręczyny

Kiedy miała 12 lat, została przygotowana dla niej uroczystość zaręczyn, po której w krótkim czasie miały nastąpić zaślubiny. W dokumentach odnajdujemy zapisy, które wskazują, że wuj bardzo wcześniej obiecał ją komuś ze swojej rodziny na żonę. Teraz dopełnia tej obietnicy. Rodzina przyszłego męża ofiarowała jej piękny zaręczynowy pierścień i wiele innych klejnotów, w domu kupiono haftowane złotem jedwabie i zaczęto szyć z nich ślubne stroje. Mariam nie do końca świadoma, co się dzieje, a może do pewnego stopnia olśniona tym, co jej się ofiarowuje, wchodzi w tę grę. Dopiero osiem dni przed zaślubinami pewna osoba wtajemnicza ją w obowiązki przyszłej żony i dziewczynka uświadamia sobie, jaką grę podjęła. Zalana łzami, zamyka się w pokoju i pada przed ikoną Matki Bożej, prosząc Ją o wstawiennictwo. Praktycznie całą noc pozostaje na modlitwie, nad ranem zasypia i we śnie widzi Maryję, która mówi: „Mariam, posłuchaj natchnienia, a ja ci pomogę. Nie lękaj się niczego”. Gdy dziewczynka rano wstaje, bierze nożyczki i obcina swoje długie warkocze. Jest to zarazem dzień, kiedy wszyscy goście już się zbierają w domu wuja, aby uczestniczyć w uroczystości zaręczyn. Kiedy przybywa biskup, jej spowiednik, rozpoczyna się uroczystość. Tutajszym zwyczajem w pewnym momencie tej uroczystości do gości ma wyjść kandydatka do zaręczyn i przynieść ze sobą wszystkie klejnoty, które otrzymała od narzeczonego. Przygotowana Mariam wychodzi do weselników z tacą pełną podarków, jednak na ich stosie są złożone jej obcięte włosy. Był to bardzo wyraźny znak, że Mariam odmawia.

Dla kobiety włosy – zwłaszcza długie, a właśnie takie miała Mariam – stanowią bezcenną ozdobę, niezbędny atrybut kobiecości, dopełnienie jej urody, zaś w kulturze bliskowschodniej to także symbol zjednoczenia i szczególnej bliskości, jaka łączy oblubienicę z jej ukochanym. Dla tego u muzułmanów, czy niegdyś u Hebrajczyków, kobieta zamężna musi

zasłaniać włosy. Rozpuszczone włosy to świadectwo bliskości, dar dla ukochanego. To zaś przenosi się do sfery religijnej. Długie, gęste włosy – symbol nieskalania – stanowią najcenniejszy dar, jaki można ofiarować Bogu. Oblubieniec w *Pieśni nad pieśniami* mówi, że włosy ukochanej są radością jego serca (Pnp 4,1.9). W czasach biblijnych nazarejczycy, którzy poświęcali swe życie Bogu, nie obcinali włosów, pozwalali, by rosły tak, jak je stworzyła natura. Także karmelitanki czy zakonnice innych reguł ukrywają włosy pod kornetem, bowiem należą wyłącznie do Oblubieńca, do nikogo innego. Tylko ich Wybranek może je ujrzyć, stanowią łączący ich sekret. Gest obcięcia włosów dokonany przez Mariam był więc w tamtej, bliskowschodniej, kulturze bardzo czytelnym znakiem, iż jest już poświęcona innemu oblubieńcowi i nikt inny nie ma prawa ani do jej serca, ani do jej ciała.

Demonstracyjne zerwanie zaręczyn rozwścieczyło wuja i zgorszyło całą rodzinę. Przygarnięta sierota okazała, w ich mniemaniu, największą niewdzięczność. Nie potrafią zrozumieć ani jej decyzji, ani uporu. Wyrzekają się jej i odsyłają do kuchni, by tam żyła i pracowała wśród czarnoskórych niewolnic. Mimo odrzucenia, mimo upokorzenia, mimo wykonywania ciężkiej niewolniczej pracy, dziewczynka zachowuje – zadziwiająco otoczenie – pogodę ducha. Jest przecież zaręczona i to z nie byle kim.

Krwawe zaślubiny

Mariam coraz bardziej tęskni za bratem. Pragnie podzielić się z nim tym wszystkim, co ostatnio przeżyła. Ponieważ zaś w domu wuja służył pewien muzułmanin, który miał właśnie udać się do Nazaretu, Mariam liczy, że przekaze bratu jej listy. Odwiedza więc go w jego domu, zostaje zaproszona na kolację. Podczas posiłku opowiada z całkowitym zaufaniem o zerwanych zaręczynach i jak jest teraz traktowana. Muzułmanin współczuje jej, a następnie proponuje, aby została muzułmanką, ożeniła się z nim i przyłączyła do jego rodziny. Mariam zaskoczona odpowiada hardo: „Zostać muzułmanką? Nigdy! Jestem córką Kościoła katolickiego i mam nadzieję, że pozostanę nią na zawsze”. Tak stanowcze odrzucenie religijnej i małżeńskiej propozycji muzułmanina przez nic

nieznaczącą teraz niewolnicę rozwściecza go do tego stopnia, że zrywa się, powala Mariam na ziemię, wyciąga kindżał i podcina jej gardło. Następnie przekonany, że umarła, zawija ją w białe prześcieradło, wynosi na ulicę i pozostawia w jakimś ciemnym zaułku.

Niegdyś zawarciu przymierza towarzyszyła ofiara krwi, gdyż krew stanowi najdobitniejszy, najbardziej konkretny przejaw życia. Dlatego Izraelczycy na znak swego przymierza z Bogiem przelewali krew baranka. Dlatego też wyznawcy Chrystusa, gdy sprawują Eucharystię, uczestniczą w krwawej ofierze swego Zbawiciela. Mariam zaś przelała krew dla Niego. Była męczennicą, która złożyła Bogu prawdziwą ofiarę z siebie samej, ze swego życia i jestestwa. Taka więc w tradycji religijnej posiada niezwykłą moc.

Ale jest jeszcze jeden aspekt tego dramatycznego wydarzenia. W niektórych bowiem wschodnich kulturach również zaślubiny – to najbardziej intymne przymierze między dwoma osobami – są pieczętowane rzeczywistym połączeniem krwi oblubieńców przez nacięcie ich dłoni. Można więc powiedzieć, że tak jak obcięcie włosów i protest wobec rodziny – to były zaręczyny, tak też moment podcięcia gardła i wylanie krwi to dla Mariam zaślubiny z Tym, którego wybrała i któremu mogła teraz przysiąc swoją miłość do końca⁵.

Ślad podciętego gardła – ślad pieczętujący przymierze i zaślubiny – pozostanie u Mariam do końca życia. Jest to blizna dziesięciocentymetrowej długości, szeroka na centymetr. Po wielu latach życia Mariam w Karmelu, lekarz-ateista, badając jej gardło, stwierdzi, że ma uszkodzonych kilka kręgów tchawicy i że osoba z tego typu raną nie miała prawa przeżyć. To było dla niego tak zaskakujące, że uznał to za dowód na istnienie jakiejś ponadnaturalnej rzeczywistości. Dla Mariam konsekwencją była utrata brzmienia głosu – jest cały czas lekko chropawy, drżący. Za wyjątkiem ekstaz, podczas których śpiewa pięknym, czystym głosem.

W obliczu aniołów

Mariam leży więc w jakimś zaułku z podciętym gardłem, a wraz z krwią ucieka z niej życie. Opowiadała później, że kiedy straciła przytomność, znalazła się w obliczu aniołów. Byli tam też jej rodzice, byli święci, była Matka Boża, i to, co najpiękniejsze – była cała Trójca Święta, a wśród Niej sam Oblubieniec. Doświadczała całego szczęścia i radości przebywania w niebie. To było jej wesele. Niestety, nie trwało wiecznie. W pewnym momencie usłyszała, że jej księga życia jeszcze się nie wypełniła i że ma powrócić na ziemię, aby wypełnić jeszcze jakąś misję. Wróciła ta sama, ale nie taka sama. Mówi się, że choć już wcześniej doświadczała różnych nadzwyczajnych stanów, to dopiero od tego momentu – męczeństwa, niebiańskiego odpoczynku i powrotu na ziemię – przestała dla niej istnieć granica między niebem a ziemią.

Znany prawosławny teolog, Olivier Clement, w jednej ze swych książek przypomina piękną rosyjską legendę: „Głosi ona, że Bóg przysłał anioła śmierci po duszę konającego. Czasem w ostatniej chwili anioł zostaje odwołany i człowiek nie umiera. Anioł jednak nie trafia tam na daremnie. Odchodząc, zabiera człowiekowi oczy, zastępując je oczami danymi przez Boga. Od tej pory człowiek zyskuje inne spojrzenie, patrzy na świat przez pryzmat śmierci, przez pryzmat Boga. W jego sercu rodzi się pokój i miłość do każdego dzieła Bożego. Widywałem to spojrzenie u Rosjan, którzy przeżyli obozy śmierci. Bojaźń Boża zostaje zatem przemieniona przez miłość; jest tym dreszczem, który przeszywa nas na widok oceanu, u którego kresu niebo przegląda się w wodzie, a woda w błękicie – podobnie jak w Chrystusie przegląda się bóstwo i człowieczeństwo”. To świadectwo niezwykle trafnie obrazuje doświadczenie Mariam, która dzięki męczeństwu skosztowała nieba i wróciła na ziemię. Od tej chwili niebo i ziemia współistniały w niej w niepojęty, a zarazem bardzo naturalny sposób. Dzięki swemu męczeństwu Mariam otrzymała dar udziału w królestwie niebieskim już tu, na ziemi. Przez swoje męczeństwo w pełni oddała się Bogu. Dla Boga zaś nie istnieje granica między tym, co ziemskie, a tym, co nadprzyrodzone; wszystko wychodzi od Niego, Jemu służy i do Niego wraca.

Opieka Matki

Kiedy się ocknęła, zobaczyła, że znajduje się w nieznannej grocie, a obok niej krząta się tajemnicza kobieta – Mariam używa określenia: zakonnica. Kobieta jest ubrana w lazurową suknię, w zasadzie milczy, jest nieustannie zatroskana o nią, zajmuje się raną, którą zadano dziewczynce. Mała Arabka często wspominała, że jej opiekunka gotowała zupełnie smaczną, jakiej nigdy w życiu nie spożywała. Kiedy pewnego razu prosiła o kolejne dokładki, usłyszała upomnienie: „Mariam, pamiętaj, zadowolaj się zawsze tym, co niezbędne. Nie prosz o więcej. Bóg ci zawsze da to, co niezbędne, ale nie jesteś w stanie pochłonąć czy przyjąć całego oceanu”. Udzielała jej też innych nauk, które potem pomogą Mariam przetrwać wszystko to, co ją miało spotkać – tak na poziomie trudności życia codziennego, jak i darów mistycznych.

Kiedy po czterech tygodniach Mariam powróciła do zdrowia, zakonnica zaprowadziła ją do kościoła. Tam przepowiedziała jej przyszłość: „Zostaniesz córką św. Józefa, potem będziesz córką św. Teresy, wyjedziesz do Indii i umrzesz w Betlejem”. Następnie zachęciła do spowiedzi. Gdy dziewczynka wstała od konfesjonału, opiekunki już nigdzie nie było. Dopiero po wielu latach Mariam przyzna, iż w pewnym momencie uświadomiła sobie, że tajemniczą zakonnica ubraną w lazurowe szaty była Matka Boża.

Można zinterpretować pierwszy etap życia Mariam, całe jej dzieciństwo, jako swoistą drogę oderwania – to, co często wydarza się w życiu wielkich świętych: jeśli tracą wczesnie rodziców, jeśli pozostają bez jakiegokolwiek ludzkiego oparcia, to zarazem odnajdują w Bogu tak silne oparcie, że staje się On dla nich wszystkim. Podobnie stało się w przypadku Mariam: utraciła rodziców, brata, opuściła dom wuja, pozostała sama, ale zdana całkowicie na Boga mogła doświadczyć, że Bóg ją z każdej sytuacji wyprowadzi i wesprze, że będzie dla niej Oblubieńcem, Ojcem i Matką.

W stronę Karmelu

Ani wuj, ani rodzina po zniknięciu Mariam nie szukali jej. Jest to interpretowane w ten sposób, że zrozumieli, iż uciekła z domu z powodu bardzo surowego traktowania. Mariam, nie chcąc wracać do rodziny – cały czas bowiem boi się, że będą próbować wydać ją za mąż – podejmuje pracę jako służąca w różnych domach. Najpierw wyjeżdża do Jeruzolimy, potem wraca do Aleksandrii. Obawiając się, że ktoś może ją rozpoznać, kupiła sobie strój Turczynki, jeśli zaś służąc w jakiejś rodzinie wyczuwała, że ta ma kontakt z jej wujem, natychmiast zmieniała pracę.

Po kilku latach służby w różnych miejscach, w różnych rodzinach, wyjeżdża do Francji, do Marsylii. Tam jeden z kapłanów odczytuje jej powołanie do życia zakonnego i stara się pomóc w znalezieniu odpowiedniego zgromadzenia. Nie jest to takie łatwe, gdyż Mariam jest bardzo uboga i nie ma posagu. W wielu zgromadzeniach nie została przyjęta, aż w końcu otwarło jej drzwi zgromadzenie św. Józefa. Jednak nie na długo. Zna bardzo słabo język francuski, więc często wynikają z tego powodu nieporozumienia, jest oskarżana, że nie wykonuje poleceń bądź spełnia je na opak. Jeszcze więcej problemów sprawia fakt, że jest coraz bardziej obdarowywana przez niebo nadprzyrodzonymi łaskami. Nadzwyczajne stany, jakich doświadcza Mała Arabka, wprawiają siostry w zakłopotanie, często są nierozumiane, wywołują dużo zamieszania. Dlatego też siostry podjęły decyzję, że nie mogą jej przyjąć do zgromadzenia czynnego, że lepiej będzie, jeśli osoba tak obdarowana ukryje się w klauzurze, i nie dopuściły jej do następnego etapu formacji, jakim było przyjęcie do nowicjatu.

Smutek i rozczarowanie Mariam nie trwają długo. Mistrzynie nowicjatu obwieszczając jej, że nie została przyjęta do tego zgromadzenia, zarazem proponuje Mariam, żeby wraz z nią wstąpiła do zakonu klauzurnego karmelitanek bosych, o co siostra ta od dawna się starała. W ten sposób udają się razem do miejscowości Pau, położonej u podnóża Pirenejów, i wstępują do tamtejszego karmelu. Tam, po krótkim postulacie, Mariam otrzymuje habit karmelitański i przyjmuje imię zakonne s. Marii od Jezusa Ukrzyżowanego.

CZAS NA APOKALIPSE.
HISTORIA OCZEKIWAŃ
MESJAŃSKICH

„Nie mów «na pewno», bo jedyne, czego możesz być pewnym, to tego, że umrzesz”. Chyba każdy z nas był choć raz upomniany tymi słowami za zbyt wielką pewność siebie. Nierzadko zresztą przez przejętych swą misją chrześcijan. Rzucając komuś w oczy: „Na pewno umrzesz”, a więc brutalną prawdę o nieuchronnym końcu jego egzystencji, próbują zarazem otworzyć go na coś transcendentnego. I wszystko pięknie. Tylko, że owo „na pewno” ma niewiele wspólnego z pewnością, o której mówił Chrystus. Gdy odchodził do Ojca, przede wszystkim obiecywał swym apostołom, że powróci w chwale, by dokończyć dzieło. A zatem tym, czego możemy być pewni – i powinniśmy w pierwszym rzędzie oczekiwać – jest nie tyle własne odejście z tego świata, ile Jego powrót na ten świat. A jeśli doczekamy tego momentu żywi – ominie nas śmierć! Choć więc prawdopodobna, nie jest ona taka pewna. „Na pewno” to powróci Mesjasz.

Czas Mesjasza

Wiara w nadejście Mesjasza jest ściśle związana z konkretną, zawartą w Biblii wizją świata. Oczywiście, tak dla Żydów, jak i chrześcijan impuls do jej narodzin przyszedł z Objawienia i ma charakter nadprzyrodzony. Jednak nawet biorąc w nawias kwestie boskiego charakteru pojawienia się idei mesjańskiej, wymowne pozostaje, że w większości starożytnych religii w ogóle nie pojawia się taka idea; w tych zaś, w których można szukać do niej pewnych analogii, nawiązania te pozostają dalekimi cieniami biblijnego mesjanizmu. Po prostu na innym gruncie – innej metafizyki i eschatologii – idea mesjańska nie miała szans zakiełkować¹.

Spośród wielu przyczyn zamknięcia czy też niepełnej przepuszczalności religii pogańskich na tego typu ideę najbardziej zasadniczą jest przyjmowany w nich cykliczny model świata. Otóż starożytne religie i systemy filozoficzne, nie znając pojęcia stworzenia świata, nie potrafiły wyobrazić sobie jego zaistnienia w czasie oraz całkowitego kresu. Świat więc był wieczny, a zarazem, jak uczyło powszechne doświadczenie, wszystko w nim podlegało zmienności i przemijaniu. Tym zaś, co nadało sens owemu odwiecznemu stawaniu się – gdyż wpisywało w świat podobną temu, co boskie, cechę trwałości – był szereg powtarzających

się w nieskończoność cykli powstawania i zniszczenia. Niezatrzymujące się nigdy koło przemian wyrażało się w następstwie pór roku, śmierci i odradzaniu się istot żywych, postępie i regresie społecznym, upadku cywilizacji i ich odbudowie. W tak rozumianym świecie „wszystko rozpoczyna się wciąż na nowo od początku, tak jak gdyby nie istniał rozwój zmierzający do pewnego celu”². Jeżeli więc w starożytnych religiach pojawia się jakaś koncepcja końcowego spełnienia się świata, to przybiera ona postać tzw. mitu wiecznego powrotu, według którego świat po osiągnięciu pewnego stopnia swego rozwoju zostaje zniszczony, by, niczym feniks z popiołu, odrodzić się na nowo i na nowo podjąć swą nieskończoną odyseję. W takiej koncepcji świata i wynikającej z niej eschatologii nie było miejsca dla Mesjasza, mającego doprowadzić świat do jego ostatecznego kresu. Wpierw świat musiałby zostać wyzwolony z okowów cykliczności³.

Został zaś wyzwolony właśnie przez metafizykę biblijną⁴. Jak triumfalnie zakrzyknie św. Augustyn, sam wyzwalający się z pogańskiego myślenia pod wpływem Objawienia, „Koło przemian zostało w końcu rozerwane!”⁵. A przerywa je, zastępując cykliczny model świata linearną wizją jego rozwoju. Od tej chwili świat nie jest już zamknięty w piekielnym kole wiecznie powtarzających się wydarzeń, lecz tak jak miał swój początek w stworzeniu, tak też będzie miał i kres, a jego dzieje ukierunkowane są na osiągnięcie tego niepowtarzalnego kresu. Koło przyrodniczych i cywilizacyjnych cykli – którym nie ma co przeczyć, gdyż wynikają z wpisanych w naturę praw – toczy się więc w konkretnym kierunku, ku konkretnej mecie. W ten sposób „świat rzeczywiście powstaje, rozwija się i dojrzewa, posiada cel, a zatem ma sens, czyli kierunek i znaczenie [...]. Istnieje bowiem przystań będąca ostatecznym kresem [...]. Podobnie jak Bóg odpoczął siódmego dnia po dokonaniu dzieła stworzenia, tak i świat, zakończywszy swój bieg, odpocznie w Bogu”⁶.

Odpocznie jednak dopiero wtedy, gdy spełnią się zamiary Stwórcy wobec swego stworzenia, czyli – poza wszelkimi innymi aspektami tego niezwykłego wydarzenia – gdy Bóg przeobrazi porządek świata, oczyszczając go z wszelkiego zła. W tym tkwi kolejna „nowość” myśli hebrajskiej: „Ani jedna starożytna religia nie dawała wiary w możli-

wość całkowitego i ostatecznego wykorzenia zła ze świata stworzonego, chociaż w wielu z nich wyczuwalna była konieczność moralnego odrodzenia. Jedynie prorocy Starego Testamentu przepowiadali nadejście Sądu Bożego, który oczyści i przeobrazą porządek świata⁷. Dlatego natchnieni autorzy biblijni w swych wizjach czasów ostatecznych wiązali je z nadejściem „dnia Jahwe”, kiedy to Bóg wyda okrzyk wojenny, zgromadzi wierne mu wojska do boju i odniesie triumf nad Bestiami chaosu (So 1,14; Iz 13,2-3; Ez 30,3). Ziemia wtedy się rozstąpi, potęgi kosmiczne zadrżą, ogień pochłonie wszystko, co zniszczalne. Jednak na miejscu płomieni nie pozostaną jedynie zgliszcza. Gdy dym opadnie, oczy wiernych i błogosławionych ujrzą zupełnie nowy, przemieniony świat, Królestwo Niebiańskie, raj odzyskany i jeszcze wspanialszy⁸.

Wraz z rozwojem, dojrzewaniem i ubogacaniem się biblijnego judaizmu coraz ważniejszą rolę w tych apokaliptycznych wydarzeniach zaczęto przypisywać właśnie Mesjaszowi, Bożemu pomazańcowi. Żydzi wierzyli bowiem, że Bóg nie chce zbawiać człowieka bez jego w tym udziału. Dlatego wielokrotnie powoływał spośród narodu wybranego ludzi szczególnie przez Niego namaszczonego, aby w przełomowych momentach historii zbawienia dokonywali wielkich czynów, przybliżających tę historię do końca. I dlatego też w „ostatnich dniach” miał powołać szczególnego wojownika, króla i proroka w jednej osobie (Iz 11,1; Mi 5,1; Jr 23,5; Ez 37,22-24; Za 9,9). Ten Boży pomazaniec, człowiek odziany w „moc Boga”, miał wyzwolić Izrael z wszelkich niewoli oraz poprowadzić do ostatecznego boju z jego wrogami. „Oczekuje się więc «dnia Mesjasza» i jego królestwa, wyobrażając sobie je na różne sposoby”⁹.

W ten sposób biblijna wizja świata linearnie rozwijającego się i dążącego do swojego kresu poprzez apokaliptyczne oczyszczenie znajduje swoje zwieńczenie w oczekiwaniu na Mesjasza. Mesjanizm, nie tylko ten religijny, ale również jego powstałe w ciągu wieków polityczne i kulturowe odmiany, pozostanie zawsze u swych podstaw dziedzicem myśli biblijnej.

Czas Jezusa

Żydowskie oczekiwanie na Mesjasza nie stanowi jednak ostatniego słowa w dziejach biblijnego mesjanizmu. Gdy bowiem Ten rzeczywiście pojawił się na świecie, nie został rozpoznany przez własny naród. W Jego obliczu, postawie i nauce żydowscy uczeni w Piśmie nie rozpoznali zapowiadanego wyzwoliciela ostatniej godziny.

Spośród wielu przyczyn, stojących za owym zaślepieniem, dużą rolę odgrywały wyobrażenia, jakie w ciągu wieków narosły w religijności i literaturze żydowskiej wokół postaci Mesjasza. Nie były one same w sobie błędne – przecież opierały się na biblijnych prorocत्वach – lecz raczej zbyt fragmentaryczne, częściowe i pomijające lub niedostatecznie dogłębnie interpretujące prorocत्वo najważniejsze i – gwoli sprawiedliwości wobec Żydów – najtrudniejsze do przyjęcia dla ludzkiego umysłu. Prorocत्वo zapowiadające, iż ów Boski Pomazaniec, dokonujący sądu nad światem, będzie zarazem, a nawet przede wszystkim, „cierpiącym sługą Jahwe”. Kto mógł przewidzieć, że zapowiadany Mesjasz swoim sposobem walki ze złem na ziemi uczyni przyjmowanie jego niszczącej mocy na siebie, a koniecznym preludium mesjańskiego „czasu chwały” stanie się mesjański „czas uniżenia”, czas przejścia ze śmierci do życia poprzez krzyż?¹⁰

W ten sposób do nowości, jaką wobec pogaństwa stanowiła myśl hebrajska z jej metafizyką i eschatologią doszła nowość, jaką niesie chrześcijaństwo z jego ekonomią zbawienia. W historię zbawienia, apokaliptyczną walkę i mesjańskie oczekiwanie wpisany został krzyż. Ponieważ zaś ten sposób mesjańskiego zbawiania ludzi był „po ludzku” nie do przyjęcia i nie do przyjęcia zdawała się z perspektywy judaizmu stojąca za tym eschatologia, dlatego nie tylko faryzeusze, ale również apostołowie wciąż w tym względzie przeżywali rozczarowanie. Nie dość, że ich Mesjasz nie przyszedł w chwale, lecz w żółbku, nie dość, że zamiast ustanowić nowe królestwo Izraela dał się ukrzyżować, to po swym Zmartwychwstaniu wstąpił do nieba, a świat, jaki był, taki wydaje się nadal. Dopiero dzięki zesłaniu Ducha Świętego zrozumieli, że choć „razem z przyjściem Jezusa zaistniał najważniejszy, ostateczny fakt w [eschatologicznym] czasie, to czas ów nie wydał jeszcze wszystkich

swoich plonów. Czasy ostateczne zostały dopiero zapoczątkowane. Jednakże od momentu Zmartwychwstania następuje ich rozszerzenie w sposób, którego ani prorocy, ani autorzy apokalips dokładnie nie przewidzieli”¹¹.

Apostołowie przypomnieli więc sobie i w nowym świetle zobaczyli, co Chrystus im mówił na temat czasów ostatecznych: przede wszystkim, że skoro wśród nich objawił się Mesjasz, to owe czasy rzeczywiście już nastąpiły. Rozpoczęło je pierwsze Jego przyjście, zwycięży zaś obiecane drugie – paruzja, pomiędzy zaś nimi trwa czas, który zapoczątkowuje walkę dni ostatecznych, czas nawracania i czuwania, czas, kiedy to „nosząc w swoim ciele umieranie Chrystusa”, Jego uczniowie mają czynić świat coraz bardziej zdolnym – w stopniu, który pozostanie dla nich tajemnicą – do ostatecznego przyjęcia Go. A ponieważ czynić to mają nie każdy z osobna, lecz tworząc wspólnotę, jest to też czas Kościoła, społeczności wiernych, która zapowiada, antycypuje i uobecnia w tym świecie przyszłe Królestwo Boże, które ustanowi zstępujący powtórnie na ziemię już nie w uniżeniu, ale w chwale Mesjasz¹². Od tej chwili oświeceni płomieniem Pentacosty pierwsi uczniowie oczekują nadejścia *jom Jeszua* – dnia Jezusa (1 Kor 1,8)¹³.

Czas jest krótki

Pocieszała ich w tym oczekiwaniu – a zarazem zachęcała do gorliwości w misji – świadomość, iż do Jego powrotu pozostało niewiele czasu. Myśleli tak nie tylko dlatego, że bardzo tęsknili, a ten, kto tęskni, nie wyobraża sobie zbyt długiego oczekiwania. To sam Jezus usprawiedliwiał takie rachuby: „Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie” (Mk 13,30) – mówił o dniu swego powrotu. Dlatego św. Paweł nie widział nic niewłaściwego w tym, by przypominać braciom, iż „czas jest krótki” (1 Kor 7,29), wzywać do „wytrwałości, [bo] Pan za chwilę przyjdzie” (Hbr 10,36-37) oraz zapewniać, że „nie wszyscy pomrzemy” (1 Kor 15,51). Sam zresztą żywił nadzieję, że trud jego misji zostanie przerwany nie przez śmierć, ale właśnie przez widok nadchodzącego Pana: „Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem

my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana” (1 Tes 4,15-18). Również w innych listach apostołskich odnajdujemy owo pełne tęsknoty przekonanie, że Mesjasz nie da na siebie czekać zbyt długo (Jk 5,7-8; 2 P 1-3). Co zaś szczególnie wymowne, to przekonanie kończy też ostatnią księgę objawioną: „«Zaiste, przyjdę niebawem». Amen. Przyjdź, Panie Jezu!” (Ap 22,20). Eschatologiczne oczekiwanie stanowiło więc jeden z najważniejszych wymiarów duchowości pierwotnych wspólnot. Nie przez przypadek wśród nielicznych świadectw modlitwy pierwszych chrześcijan, które przetrwały do naszych czasów, zachowały się aramejskie słowa, wyśpiewywane podczas liturgii Eucharystii: *Maranatha*, co znaczy: „Przyjdź, Panie”¹⁴. „Możemy więc śmiało przypuszczać – pisze znawca tej epoki, Alain Decaux – że nawróceni nasłuchiwali najmniejszych odgłosów, burzących nocny spokój i za każdym razem odczuwali rozczarowanie, że nie rozległy się trąby, które z pewnością miały towarzyszyć powrotowi Syna Bożego”¹⁵.

Różnie próbowano wytłumaczyć zwłokę w przyjściu Pana¹⁶. Wielu chrześcijan nie kryło goryczy i rozczarowania, gdy kolejni bracia umierali, a Mesjasz jeszcze nie nadchodził. Święty Paweł słał do Kościoła Tesaloniczan – którzy nie wytrzymali napięcia, posprzedawali, co mogli, porzucili swoje zajęcia i przygotowywali się do radosnego przyjęcia Pana – uspokajające i „tłumaczące” Mesjasza listy (2 Tes 1-3). A jednak, mimo coraz bardziej przeciągającej się zwłoki, Kościół pierwotny również w następnych pokoleniach trwał w gorliwym oczekiwaniu paruzji, czego widocznym znakiem był zwyczaj zwracania się w modlitwie ku wschodowi, ku wschodzącemu słońcu, stanowiącemu symbol Chrystusa zmartwychwstałego i powracającego, „Chrystusa, który definitywnie wychodzi z ukrycia i wprowadza w świecie Królestwo Boże”¹⁷. Uświadomiono bowiem sobie, że skoro nikomu nie jest dane znać dokładnego czasu paruzji ani przeniknąć tajemnicy zwłoki, każde pokolenie chrześcijan jest wezwane do czekania, do każdego jest skierowana obietnica Pana: „Niebawem przyjdę”, każde powinno wyśpiewywać *maranatha* i wyglądać otwarcia niebios. „Dlatego wszystkie nasze modlitwy – pisał Tertulian 200 lat po Chrystusie – pełne są tęsknoty za tym, by

minął już ten wiek i nastąpił koniec świata, w wielkim dniu Pana, dniu Jego gniewu i kary”¹⁸.

Czas mnichów i indywidualistów

Dziś również, jak uczy *Katechizm*, „chrześcijanie modlą się, szczególnie podczas Eucharystii, by przyspieszyć powrót Chrystusa, mówiąc do Niego: «Przyjdź, Panie!»”¹⁹. A jednak jakoś trudno sobie wyobrazić, by tłum stojący na niedzielnej Mszy i wypowiadający słowa: „Oczekujemy Twojego przyjścia” rzeczywiście czekał na ten moment w takim napięciu i z taką radością, jak pierwsi chrześcijanie, a widząc, że Msza zbliża się ku końcowi, wierni mówili w swym duchu: „Może w końcu rozlegną się trąby i nie trzeba będzie już wracać do naszych domów”. „Chyba nie rozmiemy się zbyt z prawdą – pisał już wiele lat temu Romano Guardini – jeśli powiemy, że świadomość powtórnego przyjścia Pana również w życiu chrześcijańskim nie ma już poważnego znaczenia. Przyjście to jest przyjmowane jako zdarzenie odległe – tak odległe, że można sobie nie zaprzątać nim myśli [...]. Wskutek tego brakuje dzisiejszej chrześcijańskiej egzystencji tego napięcia, które znamionowało pierwsze wieki: ostrości rozróżniania, pasji zaangażowania, tego czegoś ponaglącego, co było zawarte w [tamtej] atmosferze i w uczuciu”²⁰.

Wydaje się, że początków załamania się ducha mesjanistycznego należy szukać tam, gdzie tkwią początki większości kryzysów trapiących chrześcijaństwo: gorliwość pierwszych uczniów została w dużym stopniu rozcieńczona przez nagłe (a jednak wydaje się, że opatrnościowe) wejście do Kościoła całych pogańskich narodów. Chrześcijanami stawali się ledwo „posoleni” katechezą barbarzyńcy i nie było już aren. Wiara większości tych neofitów, choć zapewne szczerą i gorliwą, była obarczona licznymi pogańskimi naleciałościami i nie we wszystkich swych aspektach w pełni konsekwentna. Do tego oziębienia pierwotnej gorliwości doszedł problem zadomowienia się chrześcijaństwa w tym świecie. Po uznaniu przez Konstantyna chrześcijaństwa za religię legalną, a przez jego następców za panującą, Kościół poczuł się odpowiedzialny nie tylko za religijny, ale też polityczny, socjalny i kulturalny rozwój społeczeństw. Miało to, oczywiście, swoje pozytywne strony,

ale też w ten sposób „chrześcijańska egzystencja jakoś urządziła się w świecie. Jako «kultura chrześcijańska» stała się jego elementem składowym i powtórne przyjście Pana łatwo zaczęło kojarzyć się z owym końcem dziejów, który w sposób naturalny wynika z nich samych”²¹. Im mniej zaś chrześcijanie w swej wierze byli radykalni i konsekwentni, tym łatwiej im przychodziło korzystać z pokusy zastąpienia chrześcijaństwa mesjanistycznego i apokaliptycznego – będącego, zgodnie ze słowami Tertuliana, pielgrzymem i obcym na ziemi²² – chrześcijaństwem „pełnym kultury”, czyniącym z tego świata przyjazne i poniekąd ostateczne miejsce realizowania chrześcijańskich wartości.

Oczywiście, uleganie tym pokusom w Kościele pokonstantyńskim nie oznaczało, iż całkowicie w nim zagubiono autentyczną wiarę. Jednak kroczenie drogą pełnego chrześcijańskiego wtajemniczenia stało się możliwe praktycznie jedynie w życiu konsekrowanym. Depozyt pierwotnej gorliwości i doskonałości chrześcijańskiej był chroniony przez zakony, które w kolejnych odnowach starały się upodobnić do pierwszej wspólnoty z Wieczernika i praktykować ten sam rodzaj ewangelicznego radykalizmu. W konsekwencji również owa cecha eschatologicznego czuwania, która wcześniej znamionowała każdą autentyczną wspólnotę chrześcijan, teraz przetrwała przede wszystkim właśnie w murach klasztornych.

Praktyką, która w sposób szczególny uobecniała w życiu zakonnym mesjańskie oczekiwanie, było przerywanie snu w środku nocy w celu wspólnego odmawiania psalmów. Podobnie jak żołnierze czujni w obliczu zbliżającej się bitwy, mnisi spali w habitach snem sprawiedliwym, lecz czujnym, by być gotowymi w każdej chwili, również w nocy, powitać Mesjasza. Czujność obowiązywała zwłaszcza w nocy. Czyż bowiem Pan nie zapowiadał, iż nadejdzie „jak złodziej w nocy”? Noc miała też dla nich wymiar symboliczny: to noc grzechu, uśpienia i szaleństwa, w jakim pogrążony jest świat. Mnisi przerywali więc sen i wzywali Pana, by ostatecznie rozświetlił tę noc. „Kiedyż wreszcie ukaże się Chrystus, nasze życie, i będziemy z Nim razem w chwale?”²³ – rozbrzmiewało przez wieki w klasztornych murach. Pięknie o tym eschatologicznym wymiarze życia zakonnego pisze współczesny znawca historii monastycyzmu, Jean Leclercq: „Kiedy Pan zniknął w obłoku chwały, Apostoło-

wie nadal patrzyli za Nim w niebo. Dwaj aniołowie przysli ich wtedy pouczyć, że nie zobaczą Go więcej aż do Jego powrotu. Wkrótce nastanie dla nich pora rozejścia się po całej ziemi, rozsiania po niej Ewangelii, zasadzenia Kościoła. Ale mnisi mają ten przywilej, że nadal patrzą. Wiedzą, że Pana nie zobaczą; będą więc żyli wiarą. A mimo wszystko zostaną tam. Ich krzyżem będzie kochać bez widzenia, a mimo to wciąż patrzeć i nie zatrzymywać wzroku na niczym innym, tylko na Bogu, niewidzialnym, a obecnym. Ich świadectwo składane przed obliczem świata polegać będzie na pokazywaniu przez samo swoje istnienie kierunku, w którym trzeba patrzeć. Ich funkcją będzie przyśpieszać, przez modlitwę i przez pragnienie, wypełnienie się Królestwa Bożego²⁴.

O ile na zewnątrz klasztornych murów w powszechnej świadomości chrześcijańskiego ludu mesjańskie oczekiwanie stało się z czasem coraz bardziej uśpione, o tyle ów mesjański sen był przerywany, gdy duch radykalizmu ewangelicznego w kolejnych monastycznych reformach przekraczał mury klasztorów i promieniował na cały Kościół. Wszędzie tam, gdzie odnowa wiary i kultury była inspirowana przez ruchy zakonne, powracano tak w życiu indywidualnym, jak i zbiorowym do rozmyślań nad paruzją. Zwłaszcza w średniowieczu – epoce, jak żadna inna, przenikniętej monastyczną wiarą i kulturą – mesjanizm ożywał w całej gamie tak ortodoksyjnych, jak heretyckich kolorów: uczeni piszą niezliczone komentarze do *Apokalipsy* św. Jana, wizjonerzy – z których największy wpływ miał kalabryjski opat i pustelnik, Joachim z Fiore – spisują objawienia dotyczące czasów mesjańskich, wokół samozwańczych proroków (niektórzy z nich to zbuntowani, zbiegli z klasztorów mnisi) gromadzą się sekty i ruchy millenarystyczne, franciszkańscy spirytuałowie wypatrują epoki Ducha Świętego, eschatologiczny ferment towarzyszy ludowym krucjatom i masowym procesjom biczowników²⁵.

Jednak wraz z końcem średniowiecza monastycznie przebudzony mesjanizm napotyka kolejną i jeszcze trudniejszą barierę. Przyczynia się do tego, z jednej strony, znamionowany przez reformację kryzys, jaki dotyka *civitas christiana*, a tym samym osłabienie średniowiecznego, w dużym stopniu właśnie monastycznego modelu przeżywania chrześcijaństwa, z drugiej zaś – wdzierająca się na to miejsce w kulturę i re-

ligię renesansowa tendencja do gloryfikowania indywidualizmu. Tak jak w sferze artystycznej, również w przeżywaniu wiary liczy się coraz bardziej to, co jednostkowe, subiektywne, oryginalne. W eschatologii z kolei przejawia się to w coraz większej indywidualizacji spraw ostatecznych. „Nie ulega wątpliwości – jak pisze Joseph Ratzinger w dziele stanowiącym wynik wielu lat analiz tego problemu – że osobiste zagrożenie człowieka przez śmierć i związane z nią moce wysuwa się silnie na plan pierwszy. Kwestia eschatologiczna staje się kwestią mojego osobistego losu w śmierci. Stąd pytanie o zbawienie indywidualne staje się pytaniem palącym i przesłania pytanie o losy świata jako całości”²⁶. Momentem więc, na który chrześcijanie teraz przede wszystkim czekają jako na ostateczne spełnienie ich życia i misji – chodzi o gorliwych chrześcijan, bo niegorliwi na nic w tej kwestii nie czekali – jest nie tyle ujrzenie powracającego Chrystusa, ile przejście przez próg śmierci do życia wiecznego. To nie mesjańska nadzieja – *maranatha*, ale medytacja nad śmiercią – *memento mori*, śmiercią, która może człowieka zaskoczyć w każdej chwili, jak złodziej w nocy, zmusza chrześcijan do czuwania, gdyż w każdej chwili mogą stanąć przez obliczem Pana. W ten sposób, co prawda, nie zagubiono istoty wiary chrześcijańskiej – czyli osobistej relacji do Chrystusa, jednak wyraźnie okaleczono chrześcijańską eschatologię: „Indywidualizacja chrześcijaństwa zdaje się tu jawić jak w świetle błyskawicy, a wraz z nią zatrata tego, co stanowiło kiedyś istotę eschatologii chrześcijańskiej i orędzia chrześcijańskiego w ogóle: ufnej wspólnotowej nadziei na bliskie już zbawienie świata”. Do rangi symbolu tej przemiany urosło we współczesnych analizach historycznych hasło misji ludowych z przełomu XIX i XX wieku: „Ratuj duszę swoją”. Chrześcijaństwo coraz mniej dba o ratunek dla świata, gdyż to każdy sam w ramach chrześcijaństwa ma ratować siebie²⁷.

Najpierw więc odejście od radykalizmu i jakby zadomowienie się chrześcijaństwa w tym świecie osłabia napięcie mesjanistyczne w szeroko pojętej społeczności chrześcijańskiej, a przynajmniej ogranicza je do miejsc i czasu monastycznej odnowy. Wraz z końcem średniowiecza dołącza się do tego i niejako przypieczętowuje los mesjanizmu indywidualizacja chrześcijańskiej eschatologii.